

III. POLEMIKA

ANTONI GAŚSIOROWSKI (Poznań)

O metodzie wydawania średniowiecznych dokumentów

W poprzednim zeszycie Czasopisma (XXXVII, 1985, z. 2) ukazał się artykuł recenzyjny pióra Józefa Matuszewskiego, pt. *Nowe wydawnictwo źródłowe do dziejów Wielkopolski. Uwagi w związku z tomem VI Kodeksu dyplomatycznego Wielkopolski*. Wbrew dobrej zasadzie, która głosi, iż na recenzje — jakiegokolwiek by one nie były — odpowiadać nie należy, zmuszony jestem ustosunkować się do uwag Szanownego Recenzenta na temat wydania VI tomu Kodeksu (KDW). Zmuszony dlatego, ponieważ uwagi dotyczą w znacznej mierze metody wydawniczej, ta zaś ma być, i jest, realizowana w kilku następnych tomach KDW. Tomów tych przewiduję łącznie jeszcze sześć: VII — lata 1401-1415 (już się ukazał), VIII — 1416-1425 (w druku), IX — 1426-1434, X — 1435-1444, XI — 1445-1450, wreszcie XII, zawierający uzupełnienia i indeksy do całości.

Uwagi i zastrzeżenia omówimy w kolejności ich wytaczania przez Recenzenta.

1. Zarzut, że cezury wydawnictwa nie położono na roku 1399, a na 1400, wynika z mylnej dedukcji Recenzenta, jakoby tom VI KDW był „tylko suplementem do dawnej edycji Zakrzewskiego”, a więc należałoby go zakończyć na roku, na którym zakończył swoją edycję Ignacy Zakrzewski. Tak jednak nie jest: tomy VI i następne KDW stanowić mają w zamierzeniu wydawców suplement do całej dawnej edycji (tomów I-V). Cezurę położono tutaj po prostu na schyłku XIV w., to jest na roku 1400; nie przyszło nam nawet do głowy, aby ostatni rok wieku XIV przenosić do tomu następnego. O indeksie napiszę niżej.

2. Recenzent zdaje się sądzić, iż niepotrzebnie publikujemy pełne teksty dokumentów. Píše, że „częstokroć nie dają one badaczowi ni-

czego nowego na skutek ich szablonowej redakcji”. Pisz dalej, iż „przy każdej publikacji źródłowej należy liczyć się z jej odbiorcą: czego dowie się on nowego przy mozolnej [nb. dlaczego mozolnej?] lekturze 450 niezindeksowanych stron łacińskiego tekstu. Spotka go niewątpliwie zawód”. W kontekście tych konstatacji dziwi sformułowana zaraz potem deklaracja Józefa Matuszewskiego: „Wolimy — rzecz naturalna — mieć do czynienia z pełnymi tekstami”. Dodaje jednak: „jeśli ma się to dziać kosztem indeksu, zdecydować się należy na wskazany kompromis”, tj. na rejestrowanie lub eksцерpowanie dokumentów.

Musimy tu wyjaśnić, że alternatywa: pełne teksty bez indeksu lub rejestry i indeks, jest tylko domniemaniem Recenzenta — wydawcy jej nie sformułowali. Indeks nie został dołączony do tomu VI KDW nie dlatego, że brakowało nań miejsca, a dlatego, iż uznałem, że lepiej będzie, gdy do wszystkich nowo wydanych tomów KDW opracowany zostanie potem jeden wspólny indeks. Obydwa rozwiązania indeksowe: odrębne do każdego tomu i łączny, mają swoje wady i zalety. Pierwsze dotyczą czasu bliskiego — nowy tom z indeksem jest łatwiejszy do korzystania, zaraz, natychmiast po opublikowaniu. Potem sześć osobnych tomów z sześcioma indeksami jest o wiele bardziej uciążliwych w korzystaniu niż owe sześć tomów z jednym indeksem. Dodajmy do tego o wiele większą objętość sześciu indeksów, szczególnie indeksów grupujących dokumenty zbliżone chronologicznie (ok. 1500 dokumentów nowego KDW pochodzi z lat 1380 - 1450, a więc obejmuje okres życia mniej więcej dwu pokoleń). Dodajmy do tego liczne korektury i uzupełnienia wpływające na kształt hasła indeksowego po wydaniu każdego następnego tomu kodeksu. Te wszystkie czynniki wpłynęły na moją decyzję, aby poszczególne tomy publikować — jak ongiś Zakrzewski — bez indeksów. Wspólny indeks do wszystkich zebranych dokumentów — już wykonany — czeka na ostatni tom.

Zdaję sobie sprawę, że decyzja taka nie jest popularna wśród dzisiejszych odbiorców kodeksu. Trzeba jednak pamiętać, że wydawnictwo źródłowe jest publikacją wyjątkowo „długiego trwania”. Sądzę też — wbrew słowom Recenzenta, który zdaje się niekiedy sugerować, że opublikowanie źródła bez indeksu to dopust dla badacza większy niż pozostawienie go w rękopisie — że wydanie go przyniesie jednak korzyść badaczom, chcącym z niego korzystać.

Co zaś do publikowania całych dokumentów — wydaje się, że dziś w polskiej historiografii nikt już nie optuje za przenoszeniem rejestrow czy ekscerptów nad pełne teksty. Jest to bowiem elementarna zasada szacunku historyka do tekstu, który sam, w całości, jest świadectwem źródłowym, istotnym nie tylko z powodu zawartych w nim konkretnych informacji, np. o sprzedaży sołectwa. O tym będę miał okazję pisać jeszcze niżej. Dlatego też konstatację Recenzenta, iż drukowanie wielu dokumentów *in extenso* „nie nowego do naszej wiedzy nie wnosi” uwa-

zać muszę za nieuzasadnioną deklarację indywidualnego pesymizmu badawczego. Wierzę, że do wiedzy innych odbiorców jednak coś ono wnosi i wnosić będzie w przyszłości, kiedy to formułowane będą — jak i obecnie — coraz to nowe kwestionariusze badawcze, zadające tym samym (i takim samym) źródłom coraz to nowe pytania. Dlatego też bałbym się dokonywania wyboru — co „ważne”, co zaś nie. Dokonywali owych wyborów „bezbłędnie” nasi naukowci przodkowie — Helcel czy Ulanowski; wydawane przez nich „selecta” już dawno okazały się przedsięwzięciem chybionym. Nie chciałbym — w tej dziedzinie — ich naśladować.

3. Pisze dalej Recenzent, że „nie ma potrzeby zachowania wielkich liter tam, gdzie ich użycie nie jest uzasadnione praktyką nowoczesną. Drukowałibyśmy zatem: włocławski (nr 256), raczkowski... [itp.]”. Ponieważ postronny czytelnik może niezbyt rozumieć, o co tu chodzi, musimy wyjaśnić: chodzi nie o zwykłe przymiotniki odmiejscowe, a o „nazwiska”. W naszych tekstach — niezależnie od tego, czy podstawa stosuje małe czy duże litery, piszemy je dużymi literami: Włocławski (przydomek osoby wywodzącej się z Włocławka, a teraz mieszkającej gdzie indziej), Raczkowski (pan Raczkowa), Szamotulski (pan pochodzący z Szamotuł). Recenzent już w 1975 r. zgłosił postulat pisania odmiejscowych oznaczników osób aż po wiek XVI literami małymi (J. Matuszewski, *Polskie nazwisko szlacheckie*, Łódź 1975). Nie spotkało się to z uznaniem; polemizowałem z Autorem wówczas i ja (Kwartalnik Historyczny 83, 1976, s. 677 - 680). Tutaj obydwie strony nie mają nowych argumentów — w dalszym ciągu twierdzą, że nonsensem byłoby pisanie: arcybiskup Jarosław skotnicki, wojewoda Spytek melsztyński, kardynał Zbigniew oleśnicki, kasztelan Jan tarnowski, kanclerz Krzesław kurozwęcki, dlatego też optuję za Włocławskim, Raczkowskim, Laskownickim, Dobieszewskim itd. Nie oznacza to, że nie rozumiem różnicy pomiędzy „nazwiskami” w XIV i XV w. a nazwiskiem osiemnastowiecznym czy współczesnym. Wbrew też Recenzentowi nie uważam, że lekcja „kardynał Oleśnicki” to lekcja identyczna jak „kasztelan krakowski”, dlatego też pierwszego pisać będę literą dużą, drugiego — jako zwykły przymiotnik, zgodnie z zasadami obowiązującej nas ortografii polskiej — literą małą.

4. Ma prof. Matuszewski rację, pisząc iż „w polskim tekście drukować należy „cysterki”, nie „Cysterki”, podobnie „dominikanie” itp. Zauważa też, że nazwy te pisane są niekiedy również małą literą i stawia zarzut niekonsekwencji. „Zamieszanie” w nagłówkach i przypisach tomu VI KDW jest jednak zasługą nieprecyzyjności polskich przepisów ortograficznych, które nakazują pisać: „cysters”, „dominikanin”, ale „klasztor Cystersów, Dominikanów”. W intencji autorów tych przepisów leży po-

nad wszelką wątpliwość pisanie „klasztor Dominikanów” tam, gdzie chodzi o budynek („na placu x stoi kościół Jezuitów”), nie zaś tam, gdzie chodzi o oznaczenie *communitatis monachorum*. O taką zaś właśnie *communitas* chodzi zazwyczaj w naszych tekstach („książę nadaje przywileje opactwu, klasztorowi cystersów”). Niestety większość wydawnictw (redaktorów), znajdując w słowniku ortograficznym złożenie typu „klasztor Dominikanów” poprawia autorom owych mnichów na dużą literę — tak było i w wypadku tomu VI KDW. Dodam, że w tomie VII zdołałem już wynegocjować pisanie owych klasztorów małą literą, zgodnie z duchem (?) przepisów polskiej ortografii.

5. Ma dalej Recenzent za złe wydawcom, że stosują w kodeksie przemienne e i dyftong ae, tak jak to podaje podstawa. „Czy nie prościej ujednolicić grafie i wprowadzić wszędzie e, i to z pełnym poczuciem odpowiedzialności” — konstatuje.

We wstępie do tomu VI KDW (s. XV) krótko uzasadnialiśmy nasze stanowisko — widać zbyt krótko, stąd potrzeba powtórzenia. Instrukcje wydawnicze nakazują pisać w tekstach powstałych przed połową XVI w. — zgodnie z podstawą, po połowie XVI w. — klasycyzować. Dwie są trudności w realizacji tych postanowień. Pierwsza to nieraz trudna do ustalenia data powstania kopii; dotyczy to szczególnie kopiariuszy — nie wiemy, czy wpisano doń dokument np. w 1540, czy w 1560 r. Druga, ważniejsza, to podniesiona już w cytowanym wstępie niechęć wydawców do poprawiania „przepisanego” z oryginału e na klasyczne ae, tylko dlatego, że przepisano to po połowie XVI w. O konsekwentnym pisaniu zawsze e nie może być mowy. Nie tylko dlatego, że nie przewiduje takich „ujednoliceń” żadna z istniejących instrukcji i nie dlatego, że w dalszych tomach Kodeksu może się już pojawiać niejeden zwiastun łaciny klasycznej (z kancelarii papieskiej). Przede wszystkim dlatego, że staramy się — czego zdaje się nie rozumieć Recenzent — o maksymalny szacunek dla tekstu, tekstu w formie przetrwałej do naszych czasów. Uważamy, że zadaniem wydawcy jest możliwie najwierniejsze oddanie wydawanego tekstu — czy będzie to oryginał, czy kopia — ta ostatnia ze wszystkimi zmianami powstającymi w wyniku kopiowania, zmianami zamierzonymi lub mimowolnymi.

Obok szacunku dla tekstu, w naszym postępowaniu widzimy też korzyści dla badaczy — odbiorców tekstu. „Dla latynisty i tak żadna kopia nie będzie podstawą jakichkolwiek wniosków, nawet ortograficznych” — konstatuje Recenzent. Sam on — widać nielatynista — na szczęście natychmiast z publikowanych tekstów owe wnioski wyciąga, i to wnioski moim zdaniem zupełnie poprawne. Stwierdza mianowicie, że i „późni kopiści — sądząc z omawianej publikacji — nie zawsze konsekwentnie przestrzegali nowej, humanistycznej grafii”, a zdarzało się, „że skryba wprowadzał nieraz bezmyślnie dyftong tam, gdzie brak dlań zupeł-

nie uzasadnienia w łacinie klasycznej”. Nie można byłoby poczynić tych konstatacji, gdybyśmy przepuścili nasze teksty późnych kopii przez walece rygorów bądź łaciny klasycznej, bądź średniowiecznej; sądzę, że wnioski Recenzenta stanowią najlepsze uzasadnienie słuszności tego elementu naszych poczyniń. Zapomina on bowiem stale, że kopia to nie tylko — jak chcieli dawni dyplomaty — mniej lub bardziej popsuty, niedoskonały przekaz oryginału — ale równocześnie samoistny wytwór pisarski, powstały w określonym czasie i określonych warunkach, równie niekiedy interesujący, jak oryginał.

6. Recenzent pyta oburzony: „po co — pytamy — respektować ewidentne błędy kopisty?” Odpowiedzieć tu trzeba podobnie jak poprzednio: respektować te błędy, tak błędy kopisty, jak i ingrosatora oryginału, należy właśnie z szacunku dla tekstu. Recenzent pisze, iż „wydawca winien dostarczyć historykowi materiału oczyszczonego z błędów, sprawnego do analizy”. Nie mogę się absolutnie z tym zgodzić, uważając, że wydawca powinien przede wszystkim dostarczyć badaczowi tekst możliwie wiernie odtworzony, a więc respektujący i owe błędy. Błędy świadczą o stopniu znajomości przez pisarza tak opisywanych (kopiowanych) realiów historycznych, jak i języka, którym się posługuje — przynoszą więc wiele interesujących informacji, którymi jako badacze nie powinniśmy gardzić, tak przy krytyce wewnętrznej tekstu, jak i przy ustalaniu dziejów badanych instytucji. Przypominanie o tym wydaje się już dziś rzeczą banalną. Błędy i nieścisłości podstawy powinny być zawsze zaznaczone przez wydawcę (przypis tekstowy, sic, wykrzyknik itp.). Jestem natomiast przeciwnikiem usuwania do przypisów tekstowych błędnych lekcji, a na ich miejsce wprowadzania „poprawnych”. Tworzymy bowiem w ten sposób teksty, które być może nigdy nie istniały, „teksty idealne”, których być może nigdy nie napisano. Recenzent zaleca np., aby niepoprawne szaraz czy nazas zastąpić „poprawnym” naraz — skąd pewność, że w oryginale nie było: naras (albo narzaz, narzas)? Forma szaraz, dla badacza nie stanowiąca większego kłopotu z identyfikacją, jest jednocześnie świadectwem, że kopista w ogóle nie rozumiał, co pisze, że w jego środowisku, najczęściej zbliżonym do właściciela dokumentu, nie znano już najpewniej instytucji narzazu. W jeszcze większym stopniu zalecenie zastępowania lekcji błędnych „poprawnymi” jest niesłuszne w wypadku wszelkich nazw osobowych i geograficznych — tu dopiero można by poczynić szkód. Wydaje się, że najłatwiej byłoby poprawiać gramatykę — niepoprawną odmianę itp. — ale i tutaj okazuje się niekiedy, że nawet pisarz oryginału stosuje odmianę błędną, biorąc np. błędnie rodzaj stosowanego słowa nie z łaciny, a z polskiego i psując przez to końcówki fleksyjne.

Jestem również za pozostawianiem błędów w tekście głównym i dlatego, że łatwiej je wówczas tam zauważyć i łatwiej wykorzystać pod-

czas analizy tekstu — w przypisie często pozostają nie zauważone. Tylko wyjątkowo stosuje zabieg odwrotny.

Recenzent obawia się o losy indeksu w wypadku uwzględnienia w tekście popsutych lekcji. Wydaje się, że są to obawy nieuzasadnione; indeks rzeczowy powinien oczywiście operować właściwymi desygnatami, a nie ich rozmaitymi nazwami, te ostatnie uwzględniając co najwyżej w odsyłaczach.

Staram się „dowartościowywać” owe błędy podstawy wydawniczej, ponieważ — wbrew Recenzentowi — nie jestem entuzjastą Lachmannowskiego podziału na recensio et emendatio, tego ostatniego obawiając się bardzo mocno. Dziś, po blisko stu pięćdziesięcioletnich doświadczeniach w wydawaniu polskich źródeł dyplomatycznych, nie jesteśmy chyba już tak pewni swoich przewag nad dawnymi koncypientami, ingrosatorami i kopistami dokumentów. Poczucie takiej przewagi miał jeszcze Franciszek Piekosiński, który masowo poprawiał „błędne” daty, lekcje itp., podobnie, w nieco innym wymiarze, Wojciech Kętrzyński, który arbitralnie ferował wyroki o fałszywości licznych dokumentów. Dlatego też za najważniejsze w pracach wydawniczych uważam poprawne przekazywanie przez wydawcę odbiorcy nie tyle lekcji poprawnych, co autentycznie istniejących w wydawanym źródle. Owe lekcje bowiem to samodzielnie istniejące fakty źródłowe. Poglębiona krytyka erudycyjna owych autentycznych lekcji powinna już potem być dziełem odbiorcy — badacza przetwarzającego — że użyjemy terminologii Gerarda Labudy — fakt źródłowy na fakty historyczne i historiograficzne. Przetwarzanie to powinno być dla dobrego badacza tym łatwiejsze, im wierniejszy przekaz tekstu źródła zostanie mu przekazany.

7. Dopuszczając oddawanie podwójnego v poprzez w w roli vu (jak każe projekt instrukcji: wlgariter) Recenzent protestuje przeciw pisaniu w złożeniach vo (voluntas — wlntas). Uznaliśmy jednak przypadek vo za identyczny z vu, dlatego piszemy: wlntas (dodajmy, że z wydawców tomu VI Henryk Kowalewicz uważał pisanie w w charakterze vu za niepotrzebne, ustąpił jednak przed wymaganiami instrukcji). Nie widzę w tym żadnej szkody dla tekstu.

8. Niektóre regesty poprzedzające tekst dokumentu Recenzent uważa za zbyt lakoniczne i „nie informujące należycie czytelnika”. Jest w tym część racji, sądzę jednak, że żaden regest nie może zastąpić pełnego tekstu i zresztą nie musi, wręcz nie powinien, skoro ów pełen tekst wydrukowany jest tuż obok regestu. Byłoby naiwnością sądzić, że badacz korzystający z Kodeksu może się ograniczyć tylko do rzutu oka na regest dokumentu; właściwy skutek heurystyczny może przynieść tylko lektura całych dokumentów. Dlatego osobiście uważam regesty w niektórych z wydawanych współczesnych dyplomatariuszy (np. w KDW seria nowa, t. I) za zbyt obszerne.

I. N. regestu nr 260 nie oznacza, jak przypuszcza Recenzent, skrótu Iohannes Nicolai, a — zgodnie z wykazem skrótów na s. XXV — skrót oznaczający instrument notarialny. Podobnie w dokumencie nr 296 nie przypisujemy arcybiskupowi Bodzęcie założenia wsi Bodzęcino, a tylko nową jej lokację (wieś nowo lokowana). Nazwę Bodzęcino zastępujemy w aparacie wydawniczym określeniem Bożacin, zgodnie z zasadą podawania — tam gdzie to możliwe — nazw dzisiejszych, nie zaś historycznych. Wydaje mi się, że zasada ta jest stosowana w nowej edycji KDW dość konsekwentnie.

9. Dyskutuję tutaj przede wszystkim z uwagami Recenzenta dotyczącymi metody wydawniczej, nie zaś z Jego korekturami błędów (odczytu, maszynopisu, kolacjonowania, składu) — za te jestem wdzięczny, podobnie jak i każdy z użytkowników KDW. Recenzent nazywa „usterekami” zarówno owe błędy, jak i mniej lub bardziej dyskusyjne odstępstwa od metody wydawniczej czy wreszcie nieuwzględnianie reguł, które za właściwe uznaje tylko On sam. „Usterek owych — pisze — znaleźliśmy niemało”. I dodaje: „A bynajmniej nie wyczerpaliśmy wszystkich” (zgoda, sam mam inne, odnotowane już podczas wracania do tekstów VI tomu KDW). Cytuje zaraz potem błyskotliwe sformułowanie M. Friedberga, iż „zasługi wydawcy mierzy się dzisiaj nie tyle ilością, ile poziomem przygotowanych publikacji źródłowych” i pyta: „czy przyczyną zauważonych mankamentów nie jest zbyt ... pospieszne tempo pracy, realizowanie wytyczonych planów nieraz bez zwracania uwagi na dokładność roboty”?

Na owe uwagi odpowiedzieć trzeba następująco: przed każdym wydawcą — szerzej, przed każdym badaczem — stoi zawsze dylemat ilości i jakości. Stał i przed wydawcami VI tomu KDW. Jeden z nich, prof. Henryk Kowalewicz, pracował nad tomem do śmierci — dłużej nie mógł. „Pospieszne tempo” pozwoliło mu na oddanie tomu do druku, pozwoliło na wydanie drukiem 400 dokumentów. Ja zaś uważam, że nie sposób nie „realizować wytyczonych planów”. Plany te zaś to wydanie — jak pisałem we wstępie do tomu VI KDW — zebranych blisko 2000 odpisów dokumentów wielkopolskich. Wydanie poprawne, zaopatrzone w poprawny komentarz. Sądzę bowiem, że większą korzyść odniesie nauka historyczna z poprawnego udostępnienia jej 2000 dokumentów, niż „doskonałego” (jeżeli takie pojęcie w ogóle istnieje) — kilkuset. Że „zasługi” wydawcy — przykładając Friedbergowską miarę — ocenione zostaną niżej? Trudno. Od dawna wiadomo, że wydawanie źródeł, szczególnie źródeł średniowiecznych, nie jest zajęciem lukratywnym — nie tylko materialnie, ale i prestiżowo. Zawsze więcej jest ludzi, którzy dobrze wiedzą, jak należy wydawać — należałem do ich grona również jako autor wielu surowych recenzji. Wydawców jest mniej.

Obawiam się także, że niewydanie owych zebranych już dokumen-

tów teraz spowodować może znów wielką przerwę w dziejach publikowania wielkopolskich dokumentów, przerwę podobną do tej, która wystąpiła pomiędzy tomami V i VI i o której z przyganą pisze Szanowny Recenzent we wstępie do swoich uwag. Obawiam się tego, znając liczbę chętnych do podjęcia się prac wydawniczych.

Piszę te słowa, oddając jednocześnie do wydawnictwa tom VIII KDW. Pozostały do opracowania i wydania jeszcze cztery tomy. Chciałbym zdążyć je wydać, aby mogły one wejść do obiegu naukowego. Muszę mieć „wytyczony plan”. Chciałbym móc go zrealizować nawet za cenę odsądzenia przez krytykę od „zasług”.